



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Z MAETERLINCKA.

I.

A gdyby wreszcie wrócił raz,
Cóż mówić mi wypada?
— Że go czekano długi czas,
Nim śmierć nadeszła blada.

Lecz gdy o ciebie spyta znów,
A mnie nie pozna wcale?
— Do niego, niby siostra, mów,
Kój jego łzy i żale...

A gdy zapyta, jaki kraj
Twą postać przed nim chowa?
— Mój złoty pierścień wtedy daj
I nie mów ani słowa.

A gdy o pokój spyta nasz,
Dla czego pustką stoi?
— Zagasła lampę ręką wskaż,
Do zwartych wiedz podwoi...

A gdy zapyta wreszcie mnie
O twe ostatnie chwile?
— Powiedz, że uśmiechałam się,
By on nie płakał tyle...

II.

Napróżno przez lat trzydzieści, o siostry,
Szukałam jego ukrycia,
Przez lat trzydzieści chodziłam, o siostry,
Przez lepszą połowę życia.
Przez lat trzydzieści chodziłam, o siostry,
Na stopach mych osiadł kurz,—
On wszędzie, wszędzie, był kiedyś o siostry,
Dziś—nigdzie nie ma go już...

Nadeszła smutna godzina, o siostry,
Schodzone rzucam sandały,—
Zamiera wieczór pogodny, o siostry,
I duch zamiera zbolały.
Wy macie po lat szesnaście, o siostry,
W świat idźcie daleki ów,
Zabierzcie podróżny mój kij, o siostry,
Szukajcie, szukajcie znów!...

Przełożył

Selim.

CO ŻYCIE DAĆ MOŻE.

V.

Szczęście.

Doświadczenie wykazuje nam, że jest wiele ludzi nieszczęśliwych, którym warunki życia zdają się szczęście zapewniać i uczony mąż angielski, Huxley, rozumnie twierdzi, że nikt i nie: żadne dary losu nie mogą uczynić człowieka szczęśliwym, jeżeli on sam podstaw szczęścia sobie nie zapewni. Są one w nas, w naszym pojmowaniu życia, w naszym życiu tego ideale i nie zawsze staje się szczęściem to, co zwiemy ogólnikowo pomyślnością, bo jeżeli nie umiemy z żywiołów posiadanego szczęścia korzystać, wszystkie składowe jego części obracają się w niwecz i mądrze też twierdzi Lubbock, że gdy dla jednych świat nasz jest smutnym i ubogim, drudzy widzą w nim bogatą pełnię darów szczęścia i dodaje, że szczęście jest jakoby harfa, z której stron może grający wydobywać tony najróżniejsze i trzeba mu też wiedzieć w którą i jak uderzyć, aby nie ozwał się dźwięk fałszywy.

Do najważniejszych szczęścia warunków należy to, abyśmy nie uważali się za pierwszą i jakoby jedyną wśród świata istotę, bo wtedy nigdy szczęśliwymi być nie możemy przez niezadowolenie i zawody, z jakimi nieodwołalnie spotkać się musimy i odstępować nas wtedy z konieczności to życzliwe względem ludzi usposobienie, które jest niemal enotą, bo rodzi ono enót wiele. Tak zwany humor dobry jest wielką do pozyskania szczęścia pomocą, bo nietylko rozwesela nam życie przez nastrój myśli

wesoły, ale udziela się otaczającym, więc człowiek wesoły czyni dobrze bliźnim swoim, za co odbiera tę niemałą nagrodę, że lubionym jest i zawsze chętnie widzianym, co stanowi wielki do szczęścia przyczynek. Poeta szlachetnego natchnienia, Burns, twierdził to dodając, że nastrój umysłu wesoły jest siłą toniczną dla moralnego naszego zdrowia i pomaga nam żyć dobrze nie tylko w odniesieniu do nas samych. Jak pod jasnymi blaskami słońca rozwijają się kwiaty i dojrzewają owoce, tak dzieje się i w organizmie naszym moralnym: rozkwit uczuć staje się pełniejszy, wydobywając nam z głębi serca piękności cieszące nas i udzielające się otoczeniu naszemu.

Idzie więc zatem to, że pogodne usposobienie umysłu jest pewnego rodzaju obowiązkiem względem bliźnich. Florentyna Nightingale uważała go też niemal za cnotę, dowodząc: że jest on wielkim lekarstwem dla tych ludzi, którym życie każe przykuć się mozołnie do prac jego trudnych i ciężkich. Ogarnia ich nieraz zniechęcenie takie, że stają się posępnie smutnymi, a często wynika z tego i ujemna miłości bliźniego, bo przy takim nastroju wszystko do koła ukazuje nam się w barwach czarnych, więc sąd nasz niezawsze sprawiedliwym bywa i w ogóle wesołe usposobienie niemal do cnoty zaliczyć się daje ludziom. Nieraz przecież wesołość jest skutkiem bezmyślnego poglądu na życie i jego sprawy, nie można jednak sądu takiego w ogólności wydawać, bo jest przecież w piersi naszej wiara i nadzieja, która nam ciemne horyzonty życia rozświeca i każe nam z ufnością spokojną w prac i trudów ludzkości owoce wierzyć, co staje nam się pociechą w tych chwilach ciężkich, gdy znużenie wywołuje nam z piersi skargę. Tysiące ludzi jest niemal od urodzenia skazanych na znoję dla kawałka chleba pracę, ale to jeszcze nie jest wyrokiem nieszczęścia, bo czyż i bogaci nie są często zmuszeni do dźwigania takich ciężarów życia, że się gną pod nimi, skoro świat ten nasz ma tysiące dróg, które zawodzą podróżnika, gdy tysiące najdroższych nam nadziei spotyka się z upadkiem. Nikt się nie okupi nieszczęściu górami złota: nieszczęście jest jedną ze składowych części życia, ale możemy tak się podnieść po nad nie, aby nas nie przytłoczyło ciężarem swoim. Jak wieszamy na ścianach naszego pomieszkania wdzięczne obrazy piękna, które uweselały nam oczy, tak możemy mieścić w pamięci naszej te wdzięczne i słodkie chwile życia, których wspomnienie cieszy nas odbłaskiem swoim i nie pozwala zapadać nam w gorycz zniechęcenia, zabijając nadzieję.

Każdy z nas pragnie wprowadzić w życie swoje żywioł jakiś uszczęśliwiający, ale nie każdy umie to czynić. Nie podnosić drobnych, koniecznych istnienia naszego przykrości do rozmiarów nieszczęścia, to zasada pierwsza w zdobyciu sobie szczęścia. Cicero jeszcze pytał „co może człowiek uważać wśród spraw życia za wielkie, skoro pomyśli o obszarze wszechświata, o wieczności?” Gdybyśmy też mierzyli skalą ogólną istnienia ludzkości naszą dołę i niedolę, nie byłibyśmy tak skorzy w nazywaniu nieszczęściem tych różnych zawodów, z którymi się spotykamy w życiu powszednim. Samolubstwo gra wielką rolę w rozważaniu się bolesnem nad każdym przykrejszym wypadkiem, który nas spotyka; nie bierzemy tego pod uwagę, że są to takie konieczności w istnieniu ludzkości, jak deszcz, lub zawięta mroźna i chcielibyśmy dla siebie jakiegoś odmiennego układu życia, na wzór obrazów zatraczonego raju. Umysł zdolny ogarnąć pole prac ludzkości, jej przeznaczenie i obowiązki, nigdy takiej bezwzględnej szczęśliwości nie pragnie, jako rzeczy niemożliwej, a dodać by można jeszcze zapytanie czy stan taki dawałby rzeczywiście szczęście? Poeta nasz powiedział, że smutek nadaje wartość radości i Lubbock kładzie też na to samo nacisk wielki, że człowiek któryby nigdy nie cierpiał i weselił by się nie umiał.

Otaczają nas niemniej żywioły szczęścia, z których trzeba nam tylko korzystać. Stuart Mill nie mylił się też pisząc te rozumne słowa: „Umysł wykształcony, nie konieczne głębokiego myśliciela, ale każdego takiego człowieka, przed którym potoki wiedzy zostały otwarte i który umiał zdolności swe wrodzone podnieść przez rozwój ich czynny, umie sobie znaleźć niewyczerpane źródło rozkoszy w obserwowaniu przedmiotów natury, sztuki, w uroczych obrazach poezji, w szerokim widnokręgu

działalności człowieka, który otwiera przed nim historia. Kto w głąb ten raz tylko nie obojętnie wejrzał, już ma odemknięte przed sobą wrota cudownej piękności widoków, ma przed sobą szerokie pole dla myśli, dla badań, które podnoszą go po nad codzienność.”

Żyjemy w świecie cudownym kwiatów i drzew, gór i jezior nad którymi świecą nam blaski słońca, natura otacza nas czarownymi pięknościami swymi, trzeba nam przecież mieć w sobie poczucie piękna, aby odczuć to i cieszyć sobie życie rozkoszami tej piękności. Nieraz słyszymy ludzi skarżących się, że życie jest smutne i użył nas jednostajnością swoją, lecz w nas to przecież leży przyczyna główna takiego stanu i myśliciel angielski Southey nie mylił się twierdząc, że Bóg dał człowiekowi wszystko, co uszczęśliwiać go może, ale trzeba nam samym uczynić się szczęśliwymi. Jest podanie, że jeden, z królów perskich zwołał raz wszystkich uczonych mężów swego państwa, wszystkich dworzan, pytając ich czy znają takiego człowieka, który by się czuł zupełnie szczęśliwym, ale nikt odpowiedzieć mu nie mógł i szukano go daremnie, choć szukano długo i po różnych okolicach kraju, w pałacach i dworach, aż raz spotkany przypadkiem chłopiec, który wracał z pola od roboty, a miał na sobie podartą siermięgę, przyznał się, że jest zupełnie szczęśliwym. Obrodziło mu bogatym plonem kłosów pole, które w pocie czoła uprawiał, miał więc dać co jeść dzieciom i żonie, miał nad sobą dach, który go słonił od słońca, a w sobie zadowolenie, że mu praca jego może zapewnić to wszystko i wyznał też szczerze, że mu jest dobrze na świecie.

Jest przecież w piersi człowieka pewna tęsknota za czemś nieuchwytnym, za czemś czego nie umie on sam określić, a co mu każe nie czuć się szczęśliwym przy wszystkich możliwych szczęścia warunkach. Co więc jest tego powodem? Massillon zapytany o to odpowiedział: „Człowieku! nie jesteś tu na ziemi mieszkańcem jej stałym, ziemia ta nie jest ojczyzną twoją i tęsknisz do nieba, jako do ojcowizny swojej!” Niemniej natura, która nas otacza, zawiera skarby drogie, przez które człowiek staje się bogatym i może wieść istnienie pełne rozkoszy, jeżeli potrafi z tych darów bożych korzystać rozumnie. Jeżeli człowiek cierpi to jego własna wina, że nie umie wśród otaczających go bogactw szczęśliwym się uczynić i Seneka nie mylił się twierdząc, że „nie ma w życiu człowieka takich obowiązków, których uczciwe spełnianie nie dawało by mu szczęścia, ani takich pokus, ciążących go ku złemu, na które nie było by lekarstwa. Umieć oprzeć się złemu to nie tylko złe od siebie odepchnąć, ale dobre sobie przyswajać.” Cycero wykazywał, że są trzy gatunki pragnień, które się rodzą w piersi człowieka: jedne są naturalne i potrzebne, drugie naturalne przecież nie konieczne potrzebne, trzecie które ani naturalne, ani potrzebnymi nie są i szczęście ludzkie, ludzka dostojność, zdrowie naszego ducha polega na tem, abyśmy te różnice poznali i znaczenie ich zrozumieli.

Człowiek już się rodzi bogatym przez obdarowania natury jego; są one różne między sobą, ale każde jest przyczynkiem do szczęścia naszego, jeżeli tylko chcemy i potrafimy je zużytkować. Rodzą się w nas przecież nieraz pragnienia, które nie są ani pożyteczne, ani do spełnienia możliwe i wtedy to człowiek, które je nosi w piersi, nieszczęśliwym się staje. Nie odnosi się to przecież do tych pragnień człowieka tęskniącego za ideałem, który podnosząc wzrok ku niebu szuka tam pierwiastka tego szczęścia, które duchowej naszej istoty jest celem i pragnieniem szlachetnem.

Zyskujemy przecież nieraz szczęście przez wyrzeczenie się szczęścia. Kto go pragnie bezwzględnie, podnosząc nad wszystkie inne względy życia, nie otrzymuje go najczęściej, bo wabiony jego pragnieniem zachodzi nieraz tam, gdzie nieszczęście drogę mu zastąpi. Stałozłoty greki rozumieli to i wyobraźnia ich tworzyła sobie na tej podstawie istnienie kuszących człowieka syren. Pożądanie rozkosznego używania wiedzy nas nieraz tam, gdzie znajdujemy tylko dziką, nagą skałę; męczymy się śmiertelnie, dobijając się o dary losu, które dały by nam szczęście zaspokojania coraz to wybredniejszych potrzeb i nieraz z chwilą pozyskania już sobie tego upragnionego szczęścia spostrzegamy, że nie uszczęśliwia nas ono bynajmniej. Człowiek,

chcący być prawdziwie szczęśliwym, potrzebuje przede wszystkim spokoju i rozumny angielski pisarz, Kinsley, uznając to wyraża tak zdanie swoje: „Wszystkim nam, ludziom bieżącej epoki, brakuje spokoju: spokoju serca, spokoju umysłu, mocy charakteru, który by w skutek własnej siły swojej nie potrzebował już żadnych podmiot sztucznych, oddziaływania narkotyku wrażeń. Wola mocna, na wiedzy życia oparta, dać nam to może jedynie, bo inaczej zachwiać się możemy w postanowieniach naszych najszczerzych pod naciskiem okoliczności, a któż twierdzić wtedy może, że uratuje sobie szczęście, którego podstawą jest spokój?”

Skarżemy się często na brak rozmaitych rzeczy, które stworzyły by nam szczęście: brakuje nam swobody rozrządzania czasem swoim, brakuje nam rozrywek wesołych, brakuje majątku, któryby dał to wszystko, jakże rzadko przecież ktoś pomyśli, że podstawą szczęścia jest przede wszystkim spokój umysłu, który wie do czego przedewszystkiem należy nam dążyć. Rzadko też kto z pomiędzy nas wie, bo rzadko kto był tego nauczonym od pierwszej młodości, że myśli szlachetnie podniosłe, myśli zwracające nas w stronę przedmiotów życia, nad poziom codzienności podniesionych, są ważnym uszczęśliwieniem się nas czynnikiem. Myśl obejmująca rozległejsze pole życia ludzkości—myśl wyłatająca po nad poziom codziennego naszego istnienia, to—dowodzi Lubbock—taka składowa część szczęścia, że jest jego warunkiem koniecznym. Żyjemy wtedy nie w naszym ograniczonym kręgu istnienia, bo mamy otwarty przed sobą cały świat piękna i dobra—cały świat istnienia ludzkości.

Trzeba przecież jeszcze, abyśmy nie pozwalali rozbujać się naszym materialnym szczęściu składnikom. „Spętaj mocno pożądania twoje, a zdobędziesz sobie spokój...” wyrzekł S-ty Tomasz a Kempis. Życia naszego najboleśniejsze dolegliwości pochodzą z rzeczy małych, a każą nam cierpieć tak, jak gdyby były wielkimi. Nie szukajmy nigdy szczęścia po za sobą, bo musi być ono w nas: ambicja wyniosła, chciwość, która chce wszystko sobie przywłaszczyć, to wrogi naszego szczęścia najsilniejsze, należy też dbać nam o to najmocniej, aby to szczęście zamieszkiwało w głębi naszej: w myślach i uczuciach naszych. Sokrates powiedział, że najlepszy nawet człowiek potrzebuje się doskonalić wciąż, a najszczęśliwszy to ten, który się doskonalił sam—siłą ducha swego.

M. I.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

KŁĘSKA.

POWIĘŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Powstało ogólne zamieszanie, nie to tylko, które bywa powodem jakiegoś nieszczęśliwego wypadku. Przeciwnie!

Przybycie Chostynieckiego miało inną cechę: Zapanała niezwykła wesołość, posypały się śmiechy i żarty a każdy prawie z rąk sobie wyrwał przyszłą.

— Aleksy!

— Chostyna!—wołano.

— Daj buzi!

— Daj pyska!—tu i tu brzmiało.

— Poczkajcie, poczkajcie! — mówił, sapiąc pan Aleksy.—Ot, zachciało się bakalii! Jeszcze człowiek z bryki nie wylazł, a już „dawaj!” krzyczą.

To mówiąc, przestąpił próg karczemki, a stojąc już za drzwiami gościnnego pokoju otworzył szeroko ramiona.

— No, teraz chodźcie, kawalery!—odezwał się.

W jednej chwili został obleżony, zabrzmiały ściany od głośnych pocałunków, których nie żałowano.

przybyłemu. Pan Aleksy chwycił każdego po kolei w objęcia swoje i oddawał piękne za nadobne. Nieustannie plask-młask było słyszeć, mieszały się śmiechy i pytania, na które Chostyna odpowiadać nie mógł, bo co chwila ktoś mu usta szerokim pocałunkiem zamykał. A pocałunki były niezwykle charakterystyczne, każdy całował z innym wdziękiem i dźwiękiem: pan Bonawentura Rokicki klasnął raz po raz, z jednego do drugiego przechodząc policzka; Kazio Pamiszewski wpił się w wargi Chostynieckiego, jakby rzeczywiście odnalazł w nich pożądane przez siebie bakalie i smoktał ulubione specjały w milczeniu niemem; Czawicz dał jeden pocałunek, ale tak siarczasty, jakby kto nagle z króciwej na wiwat wypalił. Jeden Zdziarski tylko trzymał się w pewnym oddaleniu do czasu, uśmiechając się lekko i gładząc strzyżone faworyty, a gdy kolej powitania na niego przyszła, kiwnął się z piętnością razy na lewo i na prawo rzucając szmer pocałunku w powietrzu. Tak samo zrobił i pan Aleksy, szanując stary zwyczaj hrabiego, co na patrzących czyniło wrażenie, jak gdyby wyczuwał się cichego, ale jakaś niewidzialna siła, przy zbliżaniu się ust, odrzucała ich od siebie.

— No—zawołał wreszcie Chostyniecki, ocierając pot z czoła—kiedy praca to praca, aż człowiek zadyszał się, ale za to w gębie miód czuje. Każdy z was po raz a niechby i po trzy mnie pocałował, to dla was fatyga nie wielka, ale ja każdemu odpowiadać musiał. A kogo o kogo, to grafa wypyskował uczciwie—ale się najadł smaku na trzy tygodnie.

— Co, gniewasz się, że tak ciebie kochamy, panie Aleksy?—zaśmiał się głos jakiś.

— Ot, powiedział—rzucił Chostyniecki.—Toż ja rad tylko, że mnie tak witacie, kawalery—a że człek ze mnie był i znam, co najprzedniejsza zupa zaczęto podawana na smaku traci—uciekam od was na miesiąc i na dwa, różnie bywa—ażebym potem mieć taki—jak, ot, dzisiaj—ball...

— Nie wiedzieliśmy, żeś taki przebiegły, panie Aleksy!

— A prawda, że Meternik—co?

— Niech cię raz jeszcze ucałujemy—odezwali się razem Rokicki i Czawicz.

— Poczkaicie, poczkaicie! Za wiele słodyczy naraz, to nie dobrze może zrobić. Czawicza, to jeszcze, bo ten strzeli raz jak z dubeltówki i koniec, ale ty Rokicki klasz tak, że mnie wątroba się trzęsie.

Zaśmiano się.

— Aj waj—odezwał się Lipa, który nagle wdrzwiach stanął.—Co moje oczy widzą? Pan Chostyniecki? To pan już powrócił do nas? chwalić Pana Boga! Ale kiedy pan powrócił, że ja nie wiem?

Zdjął jarmułkę i z uśmiechem, na ustach a z pełnym poszanowania ukłonem zbliżył się do pana Aleksego.

— A ha—niewiedział, Lipa nie wiedział—zaśmiał się pan Aleksy.

— Jak Pana Boga kocham—co nie nie wiedział—powtórzył Lipa, ściskając serdecznie dłoń sobie podaną. A jak mógł wiedzieć, kiedy ja wczora przejeżdżał przez Chostynówkę i zajeżdżał do dwora i pytał o pana.—Nie ma, mnie powiedzieli.—A kiedy wróci?—ja pytam.—A oni mówią, co nie wiedzą. No—kiedy u pana w domu nikt nie wiedział, to co ja mógł wiedzieć?

— A cożeś ty u mnie robił?—zapytał Aleksy.

— Jakto, co ja robił? Ja wracał z Musijówki z muzykantami, których wiozł do pana Baczyńskiego—to myślę sobie: zajadę! a co ja pomyślał to i zrobił. Zajeżdżał i pytał i nie się nie dopytał.

— To będzie muzyka?—rzucił Kocio.

— A czemu nie ma być? Czy to panu Baczyńskiemu nie stać?

— Ja jednak jednej rzeczy nie rozumiem: co to za okazja u Baczyńskich? Przecie imienin nieczyich nie ma?—rzekł Czawicz.

Lipa brwi podniósł, pokiwał głową i wzruszył lekko ramionami.

— No to co, że nie ma imienin—ale panna jest! Zachciało się jej balu to i bal jest. A kto pannie Malwinie odmówi, jeżeli ona chce?...

— To prawda—zapomnieliśmy o najważniejszym—odezwało się głosów kilka.

— A jaka muzyka?—zapytał Kocio.—Kościelna czy czechy?

— Aj waj—na co takie muzyki sprowadzać, gdzie tyle młodych panów będzie, co im nocy zamało i dnia zamało do tańczenia. Pan Baczyński także myślał o kościele albo o czechach, ale ja jemu wytłómaczyłem, co to żaden interes. Muzyka kościelna na wielkich trąbach gra i dużo hałasu robi—to prawda! ale jak świat, to ona cyt, bo ona musi na nabożeństwo do kościoła pojechać. Czechy dobrze grają, i arfy mają—ale oni prędko się męczą i potem pan nie wie, co już oni grają? Jak ja tak powiedział, to pan Baczyński do mnie mówi: Lipol! rób jak ty wiesz, aby tylko muzyka była. Co ma nie być? Już ja wiem co będzie—i goście się na mnie nie pogniewają. To ja pojechał do Musijówki i naszych żydków obstałowałem. Ja znam te orkiestre: i trąba jest i klarnet jest i basów dwa i skrzypców pięć i bęben. Nasze żydki ani świtu się nie nasraszają, ani się zmęczą tak jak czechy. A choćby i słońce już wysoko było—nu, to co? Pan Kocio da rubla, pan graf dwa, inni także dadzą na struny i tańcować do południa można. Ja wiem, co ja dobrze zrobił i jasne państwo kontente będą.

— To pewnie orkiestra Nuchima Bryndzy?—odezwał się Pomiszewski.

— No—ona sama. Pan ją zna?

— Bardzo dobrych ma muzykantów.

— Widzi pan, co Lipa dobrze zrobił.

— Doskonałego grają mazura—mówił Kocio.—Ram tam—ram tam—ram tamtam, ram tam!—zaśpiewał.—Panie Aleksy—zwrócił się do Chostynieckiego—spróbujmy!

— Ot, koncept!—odpowiedział zapytany.—Czterdzieści lat nie tańcowałem—a na starość w fiksaty by się zapisał.

— Ale, ale—zwrócił się Czawicz—niewiedzieliśmy się tak długo, gdzieżeś przebywał?

— Pewnie w Peterburgu—rzucił Kocio.

— A juści—odpowiedział Aleksy.

— Zawsze coś ciebie do niego ciągnie, rzekł Czawicz.

— To prawda że ciągnie ale dziwować się temu nie trzeba. Toż to tam sama moja młodość przeszła i znajomych zostało się nie mało a i miasto, że jest na co popatrzeć. Zagranicę ja nie wyjeżdżałem, bo zdrowie jest, a interesu żadnego nie ma. A gdyby i pojechał toby francuz mnie a ja francuza nie zrozumiał—ot, i satysfakcja. No a ja, jak każdy człowiek potrzebuje mieć swoje przyjemności. Czasami zmarudzi się siedzieć w Chostynówce samemu, a choć nieraz mnie tam i wy i Baczyński i pan graf odwiedzi—zawsze człowiek za tęskni za szerokim światem—wiadomo! Ale wy, kawalery, myślicie sobie, że Aleksy tylko śmiać się umie i nic innego na sercu mu nie leży? Nie prawda! Jeszcze latem, to tak i siak, ale zimą, kiedy te długie wieczory naczyną się, a śnieg zawali drogi wszystkie, że za wrota ani rusz nosa pokazać, i siedź jak pień w wilgotnej chałupie i palcem chyba po szybie skrobaj—to prosto, rozpacz! bo ani swata, ani brata przy tobie niema, a do psa gadać, przyjemność nie wielka.—To i co robić?—Do Peterburga na miesiąc dwa albo trzy: zabałamuci się tam człowiek, pobalaka z dobrymi znajomymi rysiu po newskim się pokacza—i kontent!

— Jak pan się wyrażasz, panie Aleksey?—wtrącił Kocio.

— Ale ty mnie rozumiesz?—spytał Chostyniecki.

— Oczywiście!

— No—to i dobrze!—Dla was tu rozkosz, a mnie nie zawsze, każdy z was ma tu swoje familje, a ja co?

— Czemuż się pan nie ożenisz?—ktoś wtrącił.

— Aha—z kim?

— Czy mało panien?

— To i różne są panny, ale taka, coby ja chciał to mnieby nie chciała, a taką coby mnie chciała, to ja bym nie chciał... Żadna z waszych za mnie nie wyjdzie—wiadomo!

— Mógłbyś znaleźć—odezwał się Czawicz.

— Na którąby pies chwestem nie kiwnął.

— Co znowu!—odezwano się jednogłośnie.

— Za mało siebie cenisz—odpowiedział Czawicz.—Przecież gdybyś był mało wart, niedarzylibyśmy ciebie tak ogólną a szczerą przyjaźnią...

— Dobroć wasza—przerwał Aleksy.

— Zasługa twoja—mówił Czawicz.

— Komplementy—rzucił Chostyniecki.

— E, wiesz dobrze, że do nich tak ty, jak i ja nie jesteśmy zdolni. Nieskazitelnością charakteru, niejednym dobrym uczynkiem i przykładem zapisałeś się w naszej pamięci. Nie masz biedy, której byś nie wspomógł, nie masz sprawy, do której rozsądzenia nie zostałbyś wezwany. Na zdanie twoje nie wpłynę urodzenie ani majątek; prawdy nie obawiasz w bawelnę, a choć ona nie wszystkim się podoba, milezieć i szanować ciebie muszą, bo nie ci zarzucić nie mogą. Chostynówka twoja nie zaimponuje nikomu, bo całą tę twoją fortunę pies ogonem nakryje—a przecież bywają u ciebie wszyscy i ja i Baczyński i Zdziarski i tylu innych! A dla czego?

— Że mnie lubicie—wiadomo!—zaśmiał się pan Aleksy.—Ale co innego wy, a co innego interes małżeński.

— Gdy my ciebie *lubimy*, jak rzekłeś—dla czego ktoś inny *pokochać* by nie mógł?

— A wiesz dla czego?

— Jestem ciekawy.

— Bo zawsze ze mnie wylizie—Chostyna!

— Ee!...

— Zdrów gadaj, a inaczej być nie może. To już taki obyczaj—trudno! familja coś znaczy i nie na to nie poradzisz, a ja co? Prawda, że ja się tak bardzo na świat nie prosiłem, za uszy mnie wyciągnęli, żyć kazali. Na rozum biorąc to ja nie temu nie winien, ale zawsze ojciec panny spytał: a zkąd ty? Gadaj—że jemu zkąd ja! Zawstydić się trzeba ażebym powiedział. Chłop nie chłop, ojca nigdy nie widział a nawet matki nazwisko wywrócone nosi... Ot, familiant!

— No—no—daj pokój!—odezwano się jednogłośnie.

— Chostyno!—zaśmiał się pan Aleksy, — a wy mnie uszlacheć chcieli i ogon jakiś dodali.

— Nie szata zdobi człowieka—odezwał się pompatycznie Kocio.

— Słyszał ja nieraz takie gadanie i jak był młody to myślał, co w nim jest prawda. Akurat!

— Nie miałeś dowodów, panie Aleksy!—znów odezwał się Kocio.

— Miał, miał! Ale chciałby ja wiedzieć, czy Pomiszewski, wydałby swoją córkę za mnie?—ha?...

— Ja!—zawołał Kocio.

— A no—tak!

— Panie Aleksy—przysięgam panu na wszystko, że gdybym był ojcem i między panem a córką moją zawiązała się nie sympatyczna—nigdybym żadnych przeszkód nie stawiał z powodów tych, jakie wyłuszczyłeś przed chwilą. Co mię obchodzi nazwisko, ja patrzę na człowieka—a pan Czawicz wypowiedział, jakim jesteś, ażebym wiedzieć—kto jesteś! Mówię tak, gdybym nie wiedział—*kto jesteś*... Nie prawda, panowie?...

Zapał młodziutkiego oratora udzielił się wszystkim—potwierdzono jednogłośnie, nawet hrabia potaknął. Ale pan Aleksy zaśmiał się rubaszenie.

— Bodajby tak psy mienso jedli, jak wy prawdę mówicie!

— Szkoda, że nie mam córki—zawołał Kocio.

— Ja także żałuję.

— I ja—huczała młodzież gołowąsa przeważnie. Nie kosztowało nic nawet pana Izidora, powiedzieć:

— Nie sprzeciwiałbym się i ja.

— A ty Czawicz?—zwrócił się do Bogumiła Aleksey.

— Nie wydałbym—odpowiedział pytany.

Chostyniecki za rękę go chwycił.

— To kocham—on jeden powiedział, jak należy się—zawołał.

— Przepraszam—kończył Czawicz, — jest jedno zastrzeżenie.

Chostyniecki niechętnie ręką ruszył.

— Łgać zaczniesz i wszystko popsujesz.

— Nie oddałbym,—ciągnął Czawicz — nie dlatego, ażebym ceniał urodzenie, co jest dziełem przypadku, lecz tylko dlatego, że lękałbym się, ażebym córka moja pod naciskiem otoczenia, któreby się odwróciło od niej, nie uczuła się nieszczęśliwą i nie zatruliła życia sobie ni jemu.

— Ależ panie, pan przecie słyszałeś cośmy mówili!—zawołał Kocio.

— Inaczej nieraz słowa od czynów wyglądają — panie Konstanty! — odparł Czawicz.

— Ot, gdzie prawda! — rzekł Chostyniecki. — Ale teraz powiedz, dla czego ty mnie pierwszy powiedział: mógłbyś się ożenić!

— Znając ciebie, zapomniało się o wielu rzeczach.

— Ale teraz wiesz, co ja mam prawdę przy sobie, teraz widz, co ja czasem żałuję, że mnie nie zostawili w chłopskim stanie a dali siaką taką nazwę i na świat wyprowadzili. I co temu przyszło, który mnie żyć kazał, a sam nigdy zobaczyć siebie nie pozwolił, że ja dziś jak ślepy, ani do tych, ani do tych drzwi trafić nie mogę. Chostynówkę dał matce, żeby się nie poniewierała między ludźmi — to dobrze zrobił; ale po co mnie do gimnazji posyłał i płacił za mnie profesorom — to trudno wiedzieć! Szczęście, co ja miłość waszą zaskarbił, ale to nie całe jeszcze szczęście; bo jaby chciał i do Chostynówki takie wprowadzić, coby się śmiało do mnie i rozweseliło troszka. Ale już tego żaden święty nie dokaże.

Machnął ręką i zamyslił się.

Była chwila milczenia — nikt nie wszczynął przerwanej rozmowy.

— Ale powiedz mi — odezwał się po chwili Czawicz. — Jakim wypadkiem spotykamy się dziś tutaj? kiedy wróciłeś?

— Wczora w nocy — odpowiedział Aleksy.

— Wiedziałeś, że dziś przyjęcie u Baczyńskich?

— A jakże!

— Zkąd?

— To prawda, zkąd się pan dowiedziałeś? — zapytało kilku.

— A co — sztuka!...

Zwrócił się do Lipy, który wszedł w tej chwili do pokoju.

— No — Lipa — ty nie wiedział, że ja przyjechał, a zgadnij, zkąd ja wiem, że dzisiaj jest bal u Baczyńskich?

Lipa zatrzymał się, przymrużył oczy i zaczął gładzić brodę.

— Nu — ja i tego nie wiem — odpowiedział po chwili namysłu.

— Co ci się stało Lipa, że ty dzisiaj nie nie wiesz? — zadowcipkował Kocio.

— A panna Izabelle?

Śmiech buchnął — Kocio sponsował po raz wtóry.

— Konkurenty! — odezwał się Chostyniecki, — a co!

— Jeden tylko — rzucił hrabia.

Aleksy spojrzał na Izidora.

— Wszyscy milczą a graf tylko zagadał — coś i tu jest!

Czawicz uśmiechnął się.

— I Czawicz śmieje się — coś jest!... Ehe — to ja był w Peterburgu a wy tutaj romansowali? Dobrze!... Czy to ty czasem nie do panny Malwiny bierzesz się? — zapytał nagle Zdziarskiego.

— Może — odpowiedział hrabia.

— Ot pojechał! — zaśmiał się Chostyniecki.

— Nie zbyt daleko — rzekł Izidor.

— Blisko ale nierówno — ciągnął Aleksy — bo choć ty graf, ale jej nie zmożesz. To panna ognista, do orczyka a ty już i do dyszla nie pójdziesz!...

Zaśmiano się, nawet hrabia wesołość udał.

— Ale niech pan, panie Leksy powie — wtrącił Lipa, — jak pan dowiedział się, co dzisiaj w Jarnej balują?

— Przecie ty mnie sam powiedział o tem — Lipa!

— Ja?...

— A ty.

— Co? kiedy? jak?...

— A kto wracał z muzykantami i do Chostynówki zajechał?

— Ny — a ja zapomniał o tem, co pan się zaraz domyślił. Pewnie parobki mówiły.

— A jakże inaczej? Lipa! — muzykanty! jeszcze nie dosyć? To ja pomyślał sobie, ot zrobię siurpryzę Baczyńskiemu — i w drogę!...

— I Baczyńskiemu i nam — zawołano.

— Ale, panowie — odezwał się hrabia, wstając z kanapy. — My tutaj w najlepsze gawędzimy a tymczasem słońce figla nam robi. Trzeba się przebrać i ruszać. I tak nie wyjedziem razem, bo panu arendarzowi miednic dla każdego z nas z osobna zabraknie. Zatem po kolei i jazda!

— Hrabie! — pierwszeństwo — tu i tam się odezwano.

— Ja mam wszystko swoje — nie będę panom w niczem przeszkadzał.

— Nie mówcie nic Baczyńskiemu, co i ja przyjadę — odezwał się Aleksy.

— Niech hrabia z panem Czawiczem wyjeżdżają — a my wszyscy razem z tobą panie Aleksy — zawołał Kocio.

— Nie — zaprotestował Aleksy. — Pierwej do Maleckiego a potem do pałacu.

— I co tam pana ciągnie do tego szlachetki?

— Uczciwość jego...

— To jutro go odwiedzisz.

— Postanowiono! — odpowiedział Chostyniecki wstając — i to zaraz.

— A pan wii — rzekł Lipa — co syn pana Krzysztofa przyjechał?

— Anderek? — zawołał Aleksy.

— Un sam!

— Rolada! — krzyknął, porywając za czapkę i narzucając na siebie okrycie letnie. — Toż to już lat kilka jak ja jego nie widział! No, dajcie pyski kawalery, a u Baczyńskiego ani mru-mru o mnie.

— Nie zagadaj się pan tylko...

— Czekać będziemy...

— Kieliszka wódki nie wypijemy dopóki nie przyjedziesz...

— Facecy! — rzucił Chostyna, już z bryki, — i zwracając się do furmana.

— Wio! — krzyknął.

— Adieux, adieux! — wołano za odjeżdżającym.

— Do widzenia z wami! — odezwał się jeszcze Aleksy, zdejmując czapkę — a u Baczyńskiego ani mru-mru o mnie...

Ostro zacięte mierzyny, ruszyły z miejsca kłusem wyciągniętym, obłok kurzu dużemi wzbili się kłębam i gdy dygocąca bryka Chostyny drogą idącą w dół, w jar wjechała, zaciśnięty wąwóz oddychał długo szarą mgłą pyłu, choć turkot kół przycichł i znikł zupełnie.

Z gości Baczyńskiego, hrabia i Czawicz najpierw opuścili gościnny zajazd Lipy. Pan Izidor wyświeżony był i odmłodzony, lekki zapach rezydy dookoła niego się unosił, co nie bardzo panu Bogumiłowi smakowało, który przesiadł się do eleganckiego powozu właściciela Miedzianej-Grobli i razem z nim przed pałac jarneński zajechał.

Reszta młodzieży została.

Najmłodszym z nich był Kocio Pomiszewski, bo zaledwie dwadzieścia parę lat wieku liczący, jednak a rodziców, kochany i pieszczonej niezmiernie. Kocio należał do dobrych partyi, bo trzy intratne wioseczki przypadały mu w udziale po rodzicach, na jednej już sam gospodarował i przez półtora roku odłżyć nieco potrafił, ale papa miał grosz leżący, długi synaczka pozpłacał i choć mu żadnych wyrzutów z tego nie czynił, zaczął baczniejsi księgi rachunkowe przeziierać i z daleka kontrolować czynności jedynaka. Młodzieńczy wiek Kocia nie przeszkodził mu w zwiedzeniu niemałego kawałka świata; Kocio znał Paryż a cóż już mówić o Wiedniu, w którym parokrotnie w podróży swoich się zatrzymywał. Do pięknych zaliczyć by się nie mógł, ale przystojny był bardzo. Ciemny szatyn o oczach szafirowych, twarz miał delikatną i zarumienioną prześlicznie, a małeńki wąsik wysypywał się gęstym a wązkim zarostem, usta zaś koralowej barwy uśmiechały się co chwila. W okolicy wszystkie podlotki kochały się w Kociu, ale on wołał towarzystwo mężatek, bo, bądź co bądź, zawsze z niemi miał coś więcej do pogawędzenia. Wesoły był, grał dobrze na fortepianie, tańczył doskonale i czegoś chcieć więcej jeszcze od Kocia Pomiszewskiego?

Młodzieź, która zatrzymała się u Lipy dla przeprowadzenia do porządku toalety — należała do tej samej sfery, z której i Kocio pochodził. Niektórzy odróżniali się tylko większą może rubasnością i zamasztością w ruchach, ale byli obywatelskimi synami i siedzieli na własnym kawałku ziemi. Znali się dobrze i kochali się szczerze; czas dzielili między polowaniem a zajęciami gospodarskimi, zimą zaś do tych rozrywek przybywały baliki i karty. Czerwcowy bal w Jarnej był wypadkiem nadzwyczajnym, ale przyczynę tego Lipa wytłumaczył.

Po wyjeździe Chostyny, młodzi kawalerowie zabrali się do przyprowadzenia swojej garderoby do

należytego porządku. Na poręczach krzeseł i kanap wpływających i wklesłych okrutnie, zwieszały się eleganckie fraki, i śnieżyły się koszule bufiaste, mankiety zaś i kołnierze, na których podczas drogi kurz osiadł — bez ceremonii na ziemię rzucono, dając tym sposobem zajęcie chłopakom, po większej części w kozackie stroje przebranych, którzy naprawiali nieład paniczów, biegając z kąta w kąt, gotowi na zawołanie każde. Lipa także nie opuszczał gości, bo co chwila tego lub owego żądano. Raz w raz tylko wychylał się za drzwi i wołał:

— Chaim kim! Szłoma kim!

Zaledwie Aleksy odjechał, Rokicki, przypatrując się w zwierciadle wąsom sterczącym, rzucił od niechcenia:

— Pocziwina!

— Kto taki? — zapytał Kocio.

— A ten Aleksy!... Zachciało mu się żeniaczki, jakby to która z naszych panien mogła wyjść za niego.

— Ależ mu się wcale nie zachciało, doskonale rozumie swoje drażliwe stanowisko, to tylko Czawicz podał mu myśl niestosowną — odpowiedział któryś z mężczyzn.

— Dla czego niestosowną? — rzucił Pomiszewski.

— Przecież wiesz! — odparł Rokicki, zajęty swemi wąsami.

— Wiem, że obiecywałeś mu dać córkę, gdybyś ją miał! — rzekł Kocio.

Rokicki zaśmiał się.

— To też dla tego obiecywałem, że jej nie mam. Zdaje mi się, że tu wszyscy jednakowe mamy zdanie?...

— Naturalnie — odpowiedziano chórem.

— Ja nie! — zawołał Kocio. — Jakkolwiek nie jestem demokratą, uważam jednak, że nie szata zdobi człowieka...

— Znamy zakończenie, — przerwał Rokicki.

— Wiecie zatem, jak sądzę o tem...

— Kogo ty chcesz oszukiwać? — zwrócił się szybko Rokicki.

— Nikogo — zawołał, zapalając się Kocio — ale przysięgam wam, że to jest moje zdanie mrowane.

— Cha-cha-cha, — śmiech się rozległ. — Zdanie Kocia!

Pomiszewski uniósł się.

— Zacofańcem nie jestem i wyżej cenię zasługi osobiste niż inne względy, a śmiechom proszę dać pokój, bo one są wcale nie w miejscu.

— A Anielka? — rzucił Rokicki, przymrużając lekko powieki.

Twarcz Kocia szkarłatową się stała.

— Co Anielka — co? — prysnął.

— Kochałeś się w niej i możeby nikt tobie nie przeszkodził do ołtarza z nią stanąć, ale jak dowiedziałeś się, że ojciec panny, trochę tego grosiwa co go ma, na konowalstwie zrobił — coś ciebie odpało od niej.

— Przepraszam — wcale była iona przyczyna.

— To coś nowego dowiemy się.

— Przyczyna leżała w jej nazwisku...

— Konowalskim — zaśmiał się Rokicki.

— Ale przepraszam — wrzasnął niemal już Kocio. — Dla mnie wszystko jedno czyja by ona była córką: chłopca, eygana czy żyda.

— No — cóż dalej?

— Co dalej? Nazywała się Jabłoszeńska — ot, co dalej!

— I?... — spytał Rokicki.

— A ja jestem Pomiszewski!

— Zatem?

— Żona Pomiszewskiego, z domu Jabłoszeńska — płatał się Kocio. — Pomme i jabłko — to jakby było przedrzeźnianie mojego nazwiska.

Śmiech buchnął

— A gdzie twoja demokratyczna szata?

— Kiedy ja arystokratą jestem i nie wypierałem się tego — a ce śmieszne to śmieszne, a ja niczego tak się nie obawiam, jak śmieszności.

— Dałeś tego dowód — odezwał się Rokicki.

— Zresztą nie kochałem się w Anielce, to wy tylko wmówiliście we mnie miłość.

— Sam przecie dobrze pamiętam, jak krzyknąłeś: fe! dowiedziawszy się o stanowisku, które w społeczeństwie stary Jabłoszeński zajmował. Czy zaprzeczysz temu?

— Prawda, że krzyknąłem: fe! ale to tak sobie krzyknąłem.

— I zaraz urządziłeś rejteradę, do panny Izabelli Drohickiej. Ba! smaczny kasek—sto tysięcy, jak lodu.

— Przecie mam więcej—burknął Kocio.—Tylko, że panna Izabella podobała mi się a Anielka, słowo honoru wam daję, że nie a nie.

Lipa wszedł—rozmowę przerwano. Kocio się zadąsał, bo śmiano się jeszcze po cichu z Pomiszewskiego mającego za żonę Jabłoszewską z domu.

Nie mając na nikim zemsty swej wyrzucił, wywarł ją Kocio na krawacie, który w lewo to w prawo jeździł, albo wyłaził z tyłu za kołnierza, to niemal do brody się posuwał. Zirygowany szarpnął i rozerwał na połowę.

— Pożyczcie mi krawata — odezwał płaczącym głosem, zwracając się rozpaczliwie do obecnych.—Ten szelma Piotruś, zapomniał przygotowany zapas do walizy włożyć.

Szczęściem, że każdy miał pod dostatkiem białych krawatów, z łatwością więc zadość uczyniono błagalnej prośbie Kocia.

Zmierzchno—przed karczmą zaturkotały powozy i bryki. Lipa uprzejmym ukłonem życzył przyjemnej zabawy, jadącym na bal do Baczyńskiego, pannieczom.

Chostyniecki zbliżał się do dworka Krzysztofa Maleckiego.

Wieczór był prześliczny, zachodzące słońce ozłociło pół nieba i jaskrawo zielonawym blaskiem oświeciło jar prawie cały. Po dniu upalnym miły chłód powiał, Rosienka zdawała się płynąć szybciej, całując z rozkoszą skaliste brzegi, na których mchy różnobarwne rosły i zwieszały się festony dzikiego powoju. Ściany wawozu zacieśniały się, to rozchodziły szeroko, wśród drzew zieleni białe chaty wieśniacze, a z za wrót co chwila wypadały psy kudłate i z głośnym szczekaniem, to ujadaniem zawziętem przeprowadzały jadącego Chostynę.

Droga była nierówna, dość gęsto wystającymi odłamami skał usiana, więc bryka podskakiwała co chwila, aż pan Aleksy postękiwał czasami. Przykre jednak te skoki nieresorowego powozu, nie przerywały marzeń jadącego.

— Powoli, Sirko! bo kości bolą—odzywał się kiedy niekiedy do powożącego parobka—inowu w zadumę zapadał.

Chostyna od pewnego czasu zamyslał się dość często. Dawniej nie czuł takiego osamotnienia jak teraz. Gdy czterdziestka wydzwoniła, coraz pustszy zaczął mu się wydawać dom w Chostynówce, czuł brak duszy jakiejś, jak się wyrażał, którąby wypełniła samotne kąty jego mieszkania.

Był synem chłopki, lecz ojcem jego był pan wielki. Matkę pamiętał dobrze, ojca nigdy nie widział. Dowiedział się później, że kilkudziesięciu morgowy folwarczek, gdzie przebywał, był darowizną jego rodzica, daną dziewczynie wiejskiej; dowiedział się później, że w gubernialnym mieście skończył szkoły kosztem ojca, który nie chciał ażeby sporniewierała się całkowicie krew pańska. Później dostał urząd przez protekę czyjąś. Przemieszkawszy w Petersburgu lat piętnaście, zostawił dobrych przyjaciół kilku, ale zateścił do swojej ziemi, która wciąż pamięci jego była obecna. Lecz dopiero powrócił po śmierci nieznajomego ojca. A i matką już długo nacieszyć się nie mógł, bo ta umarła prędko, wyjawiając mu smutną tajemnicę jego pochodzenia.

— Pluń na wszystko!—pomyślał zrazu.

Zajął się pracą przy roli, a że matka spory mu groź przechowywał w węzełku dała—nie cierpiał biedy. To jednak, co było tajemnicą dla niego, nie było nią weale dla okolicznych mieszkańców. Powrót Chostyna do stron rodzinnych zainteresował niektórych. Chłop nie chłop—szlacheckiej krwi zawsze ze sto kropel się znajdzie. To ten, to ten, na jarmarku, to w kościele spotkał się z Aleksym. Czawicz pierwszy do niego zagadał, a że mu się pan Aleksy od pierwszego wejrzenia podobał—zajechał razu pewnego, niby wypadkiem, do Chostynówki i poznał się bliżej z nowym sąsiadem. Tymczasem Chostyna kilka obywatelskich przysług zrobił i tem baczniejszą na siebie uwagę zwrócił. Pan Aleksy rozporządzał kikunastotysięcznym kapitałem. Temu na zbiór, temu na umorzenie jakiegoś gwałtownego długu dał, w procencie: dziękuję!

wymawiając tylko sobie; a że przy tem otwartą miał głowę, niejedna jego rada na dobre wyszła. Razu pewnego stanął nawet w obronie pokrzywdzonego sąsiada i łeb swój śmiało pod łufę pistoletową nastawił. To powiększyło koło życzliwych, a że uczciwość ma zawsze moc zwyciężką—pan Aleksy po latach kilku bytności swojej w Chostynówce, zaskarbił przyjaźń powszechną. Ale z Chostyna Chostynskim go zrobiono—i nie gniewano się, gdy zaczął tykać wszystkich, wprost po nazwisku odzywając się do każdego. Jedną z nie-małych zalet Chostyna, była wesołość i niezamącona niezem pogoda umysłu, a także, choć gadać lubił i gadał dużo, nigdy nie wyskoczył z czemś niezbędnym a powierzonej tajemnicy świecie docho-wał zawsze. Podobało się także niejednemu, że sam się nigdy do żadnego domu nie wpraszał, czuł wartość osobistą i ją wyżej nad wszelką pozłotę stawiał. To też powoli i domy prawdziwie pańskie otworzyły się przed nim i pan Aleksy nieraz zostawał powiernikiem poróżnionych małżonków, zwaśnionych rodzin i bokiem nasiebie patrzących przyjaciół dawnych. Godził, jednak, sprowadzał uśmiech na usta nadąsane, a że prawda zawsze była przy nim, wypowiedziana bez ogródek żadnych—pokonywał opornych, łamał hardych, a skaczących do siebie rozbrajał żartem i do śmiechu pobudzał.

Śmiech z gniewem nie idą w parze—musieli się godzić.

Pan Aleksy był więc pożądanym wszędzie, przez wszystkich. Polowania, bale, spory sąsiedzkie i targi pomiędzy dworem a wsią—nie odbyły się bez czynnego udziału Chostyna. Szlachta go kochała, lud przepadał za nim: obie warstwy społeczne po części miały prawo do niego, z tymi i z tymi Chostyna krwią był związany, wytworzył nawet język jakiś pośredni, od którego odzwyczaić się nie mógł.

Pan Aleksy był zawsze wesoły i nikt się nie domyślał, że powoli smutek rozpościerał skrzydła swoje na dnie jego serca. Przybył on nagle, niespodzianie pewnej nocy jesiennej.

Chostyn był sam u siebie, na kominku ogień palił się, wiatr stukał w suche gałęzie drzew, to co chwila drzwi wiodące do sieni, jak złodziej podwazył.

Pan Aleksy obejrzał się raz i drugi.

Pusto!

A wiatr tak smutnie stuka, tak przykro drzwi skrzypią...

Wzięła go chętka zagadać do kogoś...

Obejrzał się znowu...

Tylko ściany!

Chostyna westchnął i coś mu koło serca zamgliło i dziwna go ogarnęła tęsknota.

Zaczął marzyć...

Marzenia były słodkie... Ktoś miękkim ramieniem opłatał jego szyję, a u tamtej ściany posłyszał najwyraźniej huśtanie się kolebki.—„Luli-luli! głos jakiś zaśpiewał...”

Aleksy drgnął i obudził się.

Cicho—wiatr tylko huczy i co chwila drzwi podwazył...

Chostynie rzesiste łzy spłynęły po policzkach.

Trudno! nie dla niego sen taki.

Od tej chwili nie mógł, jak dawniej, w pustych pokojach domu swojego długo przybywać.

Za smutno mu było...

Wyjechał raz i drugi do Petersburga—spotkał dawnych znajomych i przyjaciół lat młodych—i zabałamucił się trochę. Te wycieczki następowały coraz częściej, ale nie przytłumiły raz wzbudzonych pragnień serca, których zaspokoić nie mógł.

Czuł się wykończonym.

— Powoli Sirko, bo kości bolą...—odezwał się nagle.

Ale Sirko nie zważał na narzekanie pana, zaciął mierzynki i bryka, dygocząc, zatoczyła się przed ganek domu Krzysztofa Maleckiego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

List z Anglii.

Mieliśmy tu zwrotnikowe upały, kto mógł uciekał też po za mury Londynu, obecnie tak już ogromnego miasta, że niełatwo dostaje się w głąb jego ulic świeży powiew z otwartej przestrzeni pól i lasów, przecież nie pusto tu było i nie głucho, bo według odwiecznego zwyczaju parlament zbiera się o tej porze w głównej stolicy trójkrolestwa, a otwarcie go jest zawsze bardzo uroczyste i wspaniałe w średniowiecznych formach swoich. W d. 15 sierpnia Kanclerz państwa wręczył Kanclerzowi Izby gmin niemały rułon pargaminu, na którym mieściły się wypisane rzędem nazwiska 670 posłów, czemu towarzyszyła poważnie wygłoszona mowa, a po niej odpowiedź nie mniej uroczysta, aż z uderzeniem na zegarze godziny 2-giej ukazał się w podwojach sali posiedzeń Izby gmin wóznym w starofrancuzkim stroju, w jedwabnych pończochach i trzewikach z klamrami, przy szpadzie, i głosem tubalnym, wielce uroczyste nastrojonym, wezwał zgromadzonych już tam w całym komplecie posłów, aby się udali do Izby lordów, a pochód ten odbywał się zawsze bardzo poważnie i wspaniale, posuwając się długim korytarzem, aż do podwoi Izby, gdzie ujrzą siedzących na ławie pięciu mężów w płaszczach purpurowych, podbitych gronostajami, a w środku tego grona wielce uroczyste wyglądającego, powstaje jeden, lord kanclerz i ogłasza, iż jest wolą królowej, aby wybrano tego, który ma przemówić.

Posłowie gmin wracają wtedy do sali swojej w poważnym mileczeniu, w którym trwają aż do chwili, gdy kanclerz Izby gmin wskaże palcem na jednego z posłów i zawezwie go, aby przemówił, wymieniając kandydata, lecz ten odwołuje się do całego grona i rozpoczynają się wybory. Obrany na przewodniczącego zasiada na wysokim krześle, przed nim na stole kładą buławę, która jest śniemała, a z czystego złota, i wygłasza uroczyste z nastrojem głosu niemałym kapłańskim, iż sesja została otwartą. Posłowie rozchodzą się wtedy tak poważnie, jak się zgromadzili, a dnia następnego przewodniczący przedstawia się owym pięciu dostojnikom w purpurowych płaszczach, komisarzom królowej, jak są zwani urzędownie, składa przysięgę na wierność obowiązkom swoim i odbiera ją od członków Izby gmin, a wtedy giermek składa przed nim berło jego władzy, a dodać należy że odziany on jest w czarną togę i ma na głowie średniowieczną perukę, bo zachowawczość w najdrobniejszych szczegółach obrzędów wszelkich jest tu ściśle przestrzegana, co przecież nie należy uważać za paradę jedynie. Sprawia to wrażenie, jakgdyby przeszłość wskrzeszoną została.

I obiór lorda majora, to jest prezydenta Londynu, ma również uroczyste formy swoje; odbył on się tu w tych dniach właśnie, a obrano człowieka bardzo poważanego i poważnego, w pełnej sile męskiego wieku, Henryka Wilkin, urodzonego w 1842 r. Wybory były wyznaczone na dzień 29 września, że przecież wypadło to w niedzielę przyspieszono je o dzień jeden bo uszanowanie święta—uszanowanie religii w jej przepisach i obrządkach jest tu przestrzegane bardzo gorliwie, nawet surowo, a doświadczenie wykazuje, że dobrze się dzieje narodowi, które umieją się pilnować ściśle praw przyjętych. Wyrabia się w skutek tego karność moralna, rodząca cnoty ducha podnoszące. Miłosierdzie, litość nad nędzą bliźniego jest tu wielka, jak świadczy o tem nietylko instytucje, wznoszone w tym celu, ale i pojedyncze osobistości uważają tu sobie za obowiązek ewangeliczną cnotę miłosierdzia, pomocy wzajemnej, zwłaszcza względem ludzi zasłużonych ogółowi, jak to dowodzą fakta tu niierzadkie. Jeden z literatów tutejszych, Jerzy Sale, gorącego serca i żywego temperamentu człowiek, zdobywszy sobie piórem znaczny majątek, jał się wydawnictwa dobrych, dodatnio na ogół oddziaływających książek, wkładając w to cały swój niemały majątek; że przecież ze względu na cel chciał je mieć w rękach nietylko ludzi zamożnych, oznaczył

im ceny tak niskie, że całe mienie swoje utracił. Nędra zapukała już do drzwi jego, jaki dobroczynny przytułek mógł go jedynie uratować od wyciągnięcia ręki po jałmużnę, gdy wydawca gazety „Daily Telegraph,” której Sale był przez długie lata współpracownikiem, wykazując tam swoje szlachetne poglądy na życie i obowiązki człowieka, podnosząc fakta uznania godne, Levy Lawson, przeznaczył mu emeryturę dożywotnią w kwocie odpowiadającej 1,000 rs.

Taką samą pensją miłosierną pobierał od zacnego tego człowieka drugi, podobny emeryt, Godfrid Turney, a można przyznać to anglikom w ogóle, że nie tylko są miłośnikami, ale że miłośnikami być umieją, nie na chybi trafi dary dobrego swego serca rozdając. A przecież dane statystyczne wykazują, że oszczędność jest jednym z szeroko rozwiniętych przymiotów angielskiego narodu, lecz dla tego też mogą być tak wspaniałomyślnie dobroczynnikami. Według tych danych statystycznych anglik wykazuje się najoszczędniejszym z pośród wszystkich narodowości. Na sześć milionów mieszkańców trzech hrabstw: Middlesex, Kent i Surrey 1,900,000 osób składa swoje zapasy do kas oszczędności w kwocie 27,000,000 funtów szt.; w hrabstwie Lancashire co siódmy mieszkaniec posiada książeczkę kasy oszczędności, nie jest tak przecież we wszystkich dzielnicach państwa Wielkiej Brytanii: Szkocja ma oszczędności, złożonych w tej instytucji nie całe półtora miliona funtów szt. w księstwie Walli suma ta dochodzi blisko cztery miliony, lecz co zadziwiać może, biedna Irlandia posiada takich oszczędności swoich pięć milionów. Działa tu siła woli, oparta na podstawie szlachetniejszego, wyższego przymiotu niżeli oszczędność sama: ludzie pragną się tu utrzymać przy ziemi dziadów, praojców swoich i dla tej podniosłej idei umieją poświęcać wygodę życia, życia używanie wesołe.

Umieją tu cenić przecież nie tylko skarby materialne, zarząd Brytońskiego Muzeum nabyć ma na własność bibliotekę po zmarłym tu księciu Lucy nie Bonaparte, a jedną z przyczyn, która jest bodcem do tego stanowi myśl, że w razie przeciwnym księgozbiór ten znakomity, mieszczący zwłaszcza dzieła starożytnych pisarzy, prawdopodobnie nie znalazł by jednego nabywcy i w skutek sprzedaży przez licytację rozproszonym by został z wielką szkodą dla postępów wiedzy, bo niełatwo jest najgorliwiej poświęcającemu się nauce człowiekowi szukać po świecie ksiąg i kronik starożytnych. Biblioteka zmarłego księcia zawiera 25,000 dzieł niemal we wszystkich językach, między którymi mieszczą się tu i płody naszej literatury; w oddziale nowożytnym zbiór całkowity poezji Mickiewicza i Słowackiego, oraz odczytów Mickiewicza w kolegium francuskim; w oddziale starożytnym poezje Kochanowskiego i Sarbiewskiego. Czy znajduje się tam więcej naszych rzeczy? nie wiem, bo w zbiorze takim niełatwo się rozejrzeć, jakkolwiek katalog sporządzony jest bardzo umiejętnie i przystępnie, a dodać należy, że dokonanie go zajęło całkowicie półtora roku czasu, choć nie jeden biblioman pracował tu gorliwie. Muzeum Brytońskie jest dość zamknięte, aby wyłożyć tak od razu 40,000 funtów szterlingów i dać odpowiednie pomieszczenie takiemu zbiorowi.

Już to przyznać trzeba Anglikom, że umieją cenić naukę we wszelkich jej kierunkach. Wspomniałem wam w swoim czasie o wyprawie Jacksona do bieguna północnego na parowcu Windward, dzienniki londyńskie otrzymują dość częste wieści o losach wyprawy. Windward przybił najpierw do lądu u brzegów Archangelska, puściwszy się potem w dal głębszej północy przeziłmował na Ziemi Józefa Franciszka, w lipcu dopiero wyruszył z tamtąd, a ostatnie wieści o nim donoszą, iż obecnie dobił do Vardo w stanie bynajmniej nie wesołym. Cała załoga od dowódcy do chłopców okrętowych przebyła boleśnie przykrą chorobę szkorbutu, trzech majtków spoczęło na sen wieki w krainie tej wiecznego lodu, a zabrakło już im węgla, zabraknąć mogło wkrótce i żywności. W braku węgla spalono drewniane szalasy, kupione w Archangelsku, spalono i te wszystkie części statku drewniane, które niezbędnymi nie były, aby tylko siła pary mogła wydobyć okręt z pośród lodowców, obejmujących trzyście mil kwadratowych przestrzeni, ale Bogu dzięki

wyprawa zabrała się już do powrotu i dąży do ojeźdźny, gdzie jej oczekują niecierpliwie.

A nie zbyt uczciwa to troskliwość, bo tu każda chwila grozi niebezpieczeństwem i powiedzić można, że przyroda odpycha człowieka. Wyprawa wysłała poprzednio na poszukiwanie trzech śmiałych podróżników: Pary'ego i dwóch jego towarzyszy, którzy puścili się do bieguna północnego, powróciła przecież szczęśliwie i zatrzymała się dla odpoczynku na Newfoundlandzie, w osadzie St. John, a dodać należy że spełniła czyn szlachetnej ludzkości. Śmieli wędrowcy, którym na pomoc dążyła, znajdowali się nieraz w wielkim niebezpieczeństwie i nie zdołali dostać się dalej jak do zatoki Niepodległości. Kongres geograficzny zgromadzony w Londynie ukończył właśnie wtedy obrady swoje z niemałą korzyścią dla wiedzy naszej o planecie, którą zamieszkujemy i przesłał mężnym podróżnikom akt wysokiego uznania wraz z żądaniem, aby dzieje wyprawy zostały spisane i ogłoszone drukiem, co niewątpliwie nastąpi. Na zakończenie kongresu postanowionem zostało drugie jego zebranie w 1899 r., w Berlinie, przecież biuro kongresu nie przestanie działać i towarzystwa geograficzne nie tylko Anglii pozostawać z nim będą w stałej korespondencji. Na jednym z posiedzeń kongresu postanowiono wydać mapę obszerności dotąd niebywałej, biorąc Greenwich za południk.

Środki komunikacji mnożą się też odpowiednio do ruchu ziemioznawstwa, a można twierdzić niemylnie że Anglia przyczynia się do tego w części znacznej. Londyński komitet budowy kolei pomiędzy jeziorami Wiktorii Nyanza a Mombasą wkłada w to przedsiębiorstwo sumy bajeczne, zwłaszcza jak dla nas; kosztą zakupu gruntów i innych nakładów obliczone zostały na ogromną cyfrę 2,270,000 funtów szterlingów i toczą się teraz właśnie narady, aby suma ta mogła zostać obniżoną na 1,755,000. Koszta ruchu obliczone bardzo skrupulatnie wykazują ogromną sumę od 40,000, do 50,000 funtów szterlingów rocznie, ale komitet twierdzi, że rząd powinien dostarczyć tu kapitału ze względu użytku publicznego tego przedsiębiorstwa. Już to narody, które umieją stać się bogatymi, nie tylko w jednym kierunku postęp tworzą; moralny idzie zwykle w parze z materialnym, który ułatwia środki pracy i daje możliwość oświecania się tłumom, na co społeczeństwo ubogie niełatwo zdobyć się może, jak tego obraz mamy tu przed oczyma. Instytucje dobroczynne Londynu zbudować muszą każdego cudzoziemca. „Common Lodging House,” to jest Dom wspólnego zamieszkania, znajduje się w każdym uboższym cyrkule Londynu, a przyjmuje zawsze każdego pukającego doń biedaka, który nie ma gdzie się schronić na noc, nie ma żadnego gospodarstwa domowego, gdzieby spożył łyżkę zdrowej strawy.

Ze przecież nie wszystko jest tu miłym i wdzięcznym łatwo zrozumieć; bieda często się łączy z poniżeniem moralnym, rozbudza złe skłonności przez stykanie się z tłumem ludzi rozmaitych, od czego biedacy szukający przytułku w takich wspólnych schroniskach ustrzedz się nie mogą, co też rozumiał szlachetny jeden lord angielski, sir Rowton. Szedł raz wieczorem późnym jedną z ubogich ulic Londynu i rozmowa dwóch lichych obdartusów dążących na nocleg do Lodging House uderzyła go boleśnie, bo wiedział, że znajdować się tam może młodzieniec, który zarazem moralną przyjmie w siebie i wkrótce powstało w ubogiej dzielnicy miasta wzorowe schronienie, noszące jego nazwisko: „Lord Rowton Lodging House,” dom obszerne, mogący przyjąć pod swój dach czterystu ludzi, tak przecież urządzony, że nie tu złym wpływem działać nie może. Każdy z szukających tu uchrony ma niby swoją własną izdebkę do spania: kawałek odgródzonego, więc odosobnionego kąca, oświetlanego elektrycznością, gdzie mu nikt nie przeszkadza, nikt się do niego nie wchodzi. Wspólną przecież jest ogromna kuchnia; wspólną czytelnia i fajczarnia, łazienki, na dole mieści się sklep, gdzie po cenach uczciwie umiarkowanych dostać można pożywienia, napojów, tytoniu i rozmaitych potrzebnych przedmiotów, a atmosfera domu ogólna tak oddziaływała na jego mieszkańców, że przywykają do ładu, do porządku, który się odbija w ich postępowaniu, a że zbiorowe takie zakłady mogą dawać zawsze utrzymanie tańsze, więc dobrze jest tu

wszystkim, a zakład nie tylko pokrywa wydatki, ale przynosi pięć procentu od wyłożonego kapitału.

Dodać należy że w pobliżu znajduje się teatr ludowy, więc wieczory mogą dawać mieszkańcom *Lord Rowton House* miłą rozrywkę, a anglicy klas wszelkich są zapalonymi lubownikami sztuki teatralnej. Przez lato podwoje Melpomeny są przecież w Londynie zamknięte, otwierają się dopiero u jego schyłku, we wrześniu. Teatr Lyceum z prawdziwym w sztuce swojej artystą, Henrykiem Irving, zagarnął sobie niejako tragedye Szekspira, a ma on godną do reprezentowania tych nieśmiertelnie porwujących nas utworów spółniczkę, Ellen Terry. Oboje nie są już młodzi, ale wielki talent, umiejętnie kierowany, potrafi wiele i zawsze ich ukazanie się na scenie sprowadza grzmot oklasków. Jan Reszke śpiewający w „Romeo i Julieta” przy muzyce Gounoda czaruje też zawsze publiczność, a wrazenie to uzupełniają przepiękne dekoracje: plac w Weronie, ulica w Mantui, ogród przy pałacu Capuletów, sala balowa i grobowa kaplica. Pewnego razu w końcu ubiegłego miesiąca całe nasze kółko zmówiło się, aby go porwać sobie po wyjściu z teatru i zakończyliśmy wieczór pysznie, bo brzmiały nam tony krakowiaków i mazurków, uciekające w dal ogrodu przez balkon otwarty.

W następnym liście moim zdam wam sprawę z posiedzenia Angielskiego towarzystwa zachęty do nauk, na którym prezes sekcji antropologicznej Patrik Flindor odczytał rzecz bardzo piękną i zajmującą, dotyczącą Egiptu i plemion, które zamieszkiwały dolinę Nilu. Obecnie rzecz by była za długą i znużyć by mogła czytelników.

Henryk.

Kronika działalności kobiecej.

— *Swiet* donosi, że ministerium rolnictwa wznosząc do rady państwa projekt organizacji laboratorium do analizowania produktów gospodarstwa wiejskiego, da tu udział i kobietom w zakresie przedmiotów należących do gospodarstwa domowego, zwłaszcza spożywczych.

— Podniesiona w sferach petersburskiego zarządu kwestya odpowiedzialności lekarza za odmówienie pomocy choremu, znajdującemu się w stanie zdrowia niebezpiecznym, odnosi się i do kobiet lekarek. Projekt prawodawczej ustawy w tym przedmiocie przesłany został do petersburskiej rady lekarskiej i wkrótce ma być zatwierdzony we wszystkich paragrafach swoich.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej postanowiła, aby bielizna chorych, leżących w szpitalach nie była oddawana na miasto praczkom, lecz wychowankom zakładu dla dziewcząt, mieszczącego się przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Zarobek z tego źródła pochodzący będzie im oddany w chwili wyjścia z zakładu. Nasuwa się tu przecież myśl, czy pranie bielizny takiej nie oddziaływało na organizm jeszcze dostatecznie nie uformowany, więc mniej odporny, a obok tego, czy to praca nie zacieężka dla nich?

— Z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej War. Towarzystwo Dobroczynności udzieliło 120 rs., zapomogi dwom rodzinom, których dzieci kształcą się w warszawskich szkołach publicznych.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej otrzymała z zapisu ś. p. Salomei Romanowskiej 19,000 rs., przeznaczonych na cele dobroczynne, a to: na wsparcie z procentu wdów i sierot po fabrykantach powozów 4,000 rs., dla War. Towarzystwa dobroczynności 1,000 rs., dla Schronienia paralityków imienia Feliksa Sobańskiego 2,000 rs., dla Schronienia nauczycielek w Warszawie 2,000 rs., dla przytułków rodzących matek 3,000 rs.

— Między ofiarodawcami, składającymi pocziwie grosz swój na pogorzelców spalonego miasteczka Koprzywnicy, mieszczą się panie: Wronska z Lubowni, Konopnicka z Mińska, A Cichowska, Jadwiga Gebelhartowa, Baczyńska z Jankowic, Rusocka z Włonic. Za pośrednictwem „Kurjera War-

szawskiego przesłały ofiary swoje Karska z Włostowa, Baczyńska z Jankowa.

— W znanej z dobrego kierunku szkole rysunku i malarstwa dla kobiet p. Haliny Tokarzewskiej, (ul. Hortensya Nr. 7) kursa rozpoczęły się z d. 1 października. Klasę rysunku prowadzi znany portrecista Andrychiewicz, malarstwo w zakresie sztuki czystej i stosowanej do przemysłu pozostaje pod kierunkiem malarza Bronisława Wiśniewskiego. Obok starannego i umiejętnego prowadzenia szkoły jest ona dostępną i dla osób mniej zamożnych w skutek cen umiarkowanych; opłata za półroczne lekcji rysunku rs. 12.

— Lekeye rysunku technicznego dla kobiet przy szkole malarstwa p. B. Wiesiołowskiej już się rozpoczęły. Kurs techniki zawiera przedmioty: konstruację, budownictwo, perspektywę, historię sztuki i stylów, szczególnie architektoniczne.

— W przytułku sierot chłopców hr. Zamoyskiej przy War. Towarzystwie dobroczynności mieści się ich obecnie 10-ciu.

— Byłe uczennice pensji ś. p. Heleny Budzińskiej wzniosły wdzięcznie na jej grobie, mieszczącym się na ementarzu powązkowskim, pomnik z odpowiednim napisem. Obecnie zamierzają one ufundować stypendyum jej imienia, można też twierdzić śmiało, że natura człowieka dobrą jest i wdzięczną, trzeba tylko rozbudzić w niej szlachetnych uczuć strony.

— W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca w krakowskiej czytelni dla kobiet wręczono p. Sewerynie Duchńskiej adres pamiątkowy. Następnie odbyło się zebranie wieczorne, urządzone dla uczczenia jej, co pani ta wdzięcznie przyjęła i zewzruszeniem wielkiem; prof. Czesław Pieniążek wykazał w pięknej przemowie obok zasług jej i działalności szlachetnie pojmanego życia, stanowisko jej w literaturze.

— Uniwersytet berliński dopuszczał na wykłady swoje kobiety tylko za pozwoleniem ministra oświecenia i to jedynie jako wolne słuchaczki. Obecnie jedna z pań, która posiada świadectwo dojrzałości, wydane jej w Singmaringen, a słuchająca obok tego przez kilka semestrów wykładów w Żyrichu, zażądała, aby ją przyjęto na fakultet filozoficzny. Rektor nie dał jeszcze odpowiedzi stanowczej, która jest ważną nie tylko dla tej jednej sprawy, bo przypuszczenie na wykłady jednej słuchaczki dawało by niejako prawo otworzenia auli uniwersyteckiej Berlina dla wszystkich kobiet.

— Z powodu 25-ty rocznicy wojny francuzko-pruskiej obchodzonym był bardzo uroczyste akt cześci oddanej siostrze miłosierdzia Teresie, obecnie przełożonej siostr miłosierdzia w Tonkinie. W dniu 6-tym sierpnia 1870 r., została ona w bitwie pod Wörth ciężko ranną i padłszy o ziemię między trupy zemdlą; szczęściem tylko wydostano ją jeszcze żywą z pośród ciał poległych. Przecież po wyleczeniu się z ran stanęła znowu na stanowisku tem służebnicy bożej, a siła jej uczuć nie zesłabła bynajmniej i kiedy raz granat pruski wpadł do ambulansu, którym zawiadywała, pochwyciła go natychmiast w gołe ręce i odbiegła z nim o 80 metrów w dal, gdzie pękawszy raną ją ciężko. Przecież cierpienie przebyte nie osłabiło w niej uczuć szlachetnego poświęcenia się dla bliźnich; po skończeniu wojny udała się do Tonkinu, zawsze przejęta duchem ofiarności i tam to ozdobiła piersi jej w 1889 r., znakiem najwyższej we Francji godności, krzyżem Legii honorowej; akt ten odbył się na rynku stołecznego miasta Tonkinu wśród uformowanego czworoboku wojska, a generał gubernator miasta wygłosił mowę pełną gorącego zapалу, przedstawiając obraz jej szlachetnych czynów mężstwa i poświęcenia dla Francji. W dwudziestym roku życia, więc w pierwszym jego rozkwicie, znajduje się ona jako siostra miłosierdzia na polu walki w wojnie krymskiej i pod Bałakławą zostaje ciężko ranną, gdy zbierała padających pod kulami żołnierzy. Raz drugi była ranną pod Magenta, a przecież odwaga jej nie odbiegła, nie wystygły gorące serce jej uczucia. Jest wszędzie z wojskiem francuzkiem gdzie tylko krew się lała, godną też była słów, wyrzeczonych do niej na rynku Tonkinu, gdy gubernator wśród huców wojska i sztabu swego pasował ją niejako na rycerza. Wezwawszy ją, aby przykłęka, dotknął po trzykroć jej ramienia szablą swoją i rzekł głosem donośnym: „W imię narodu francuzkiego i jego armii daję ci ten krzyż

w dowód czynem dowiedzionej waleczności. Nikt nie pozyskał sobie dzielniej tego znaku bohaterkiej zasługi, nikt nie wykaże życia doskonale poświęconego służbie braci swoich i Francji. Żołnierze! prezentujcie broń przed tą szlachetną...”

— Stowarzyszenie kobiet szwedeńskich w Stockholmie, noszące nazwę Stowarzyszenia Fryderyki Bremer, oddaje się z poświęceniem gorącym rozszerzaniu wiedzy medycznej między kobietami, tak dla umiejętnego pod względem zdrowotności urzędowania życia naszego w rodzinach, jak i pozyskania dość licznej zastępy kobiet lekarek z tą myślą, że w wielu razach kobieta chora nie dość szczerze i dokładnie wypowiada się przed lekarzem mężczyzną ze swego stanu zdrowia. Obecnie dwie kandydatki do zawodu lekarskiego: Berta Skog i Zofia Hoelengren, kształcą się na lekarkę w uniwersytecie miejscowym przy pomocy stypendyum Stowarzyszenia.

— Emma Benedick, szwedka, należąca do sfery wyższej, zapisała umierając 600,000 koron na cele dobroczynne: dla Domu schronienia kobiet sędziwych 300,000 koron, dla Domu kobiet ubogich, nie śmiejących żebrać 20,000 koron, dla Domu chorych nieuleczalnych 20,000 koron, dla Domu chorych dzieci 20,000 koron, dla Domu dyakonów 10,000 koron, dla Literackiego stowarzyszenia Fryderyki Bremer 10,000 koron, dla Stowarzyszenia młodych chrześcijanek 5,000 koron. Zakończenie ostatniej woli tej z ziemskiego świata odchodzącej pani, brzmiało: „Pragnę aby ten mój grosz oszczędzany zawsze przeze mnie z myślą pozostawienia go bliźnim moim, stał się podporą istnienia nie tylko prawdziwie go potrzebujących, ale takich których życie jest wiedzione szlachetnie, z tą myślą podniosła że nie tylko samym chlebem człowiek żyje.”

— Japonka, Tel Sono, znająca dobrze obyczaje i układ życia w Europie, w skutek przebywania czas jakiś w Anglii, gdzie zapoznała się z obyczajami i stanowiskiem kobiet europejskich, wróciwszy do ojczyzny, obrała sobie zawód odpowiadający u nas adwokaturze, założyła obok tego wyższą szkołę kobiet, gdzie wraz z nauką języka angielskiego daje uczniom swoim za pośrednictwem książek pojęcie o życiu i dostojności kobiet angielskich, ich znaczeniu w rodzinie, wykazując zarazem jakiej to pracy kosztem nabyć trzeba. Szkoła jej jest szkołą oświaty jej narodu przez żony i matki, które kształci. Znaczenie rzeczy tej rozumiejąc, poświęca jej się całkowicie.

Z bieżącej chwili.

— Wiadomości Petersburgskie donoszą, iż w Petersburgu czynią się przygotowania bardzo popieszczone do urządzić się mającej wystawy broni myśliwskiej, oraz wszelkich przyborów łączących się z myślistwem.

— Pomiedzy Moskwą, a Riazaniem zaprowadza się komunikacja telefoniczna po drutach telegraficznych.

— Władze administracyjne Kaukazu zajęte są budową szosy do jednego z portów ruskich nad morzem Kaspijskiem do Persyi. Przypuścić można, iż portem tym będzie Astara, z kąd szosa pójdzie od Ardabiz do Tawrys. Szosa ta poczynając od Astary ma być przedłużona brzegiem morza do Sary nieopodal Lenkoranu, który w razie burzy zastąpi port Astary.

— Warszawskie Towarzystwo dobroczynności odbyło posiedzenie wydziału sierot. Prezydował p. Szymon Krzeczkowski. Na opiekunów zakładu sierot dziewcząt zaproszono: p. Józefa Krompolca, do zakładu chłopców p. Alberta Wilczewskiego, na opiekuna przytułku dla dziewcząt przy ulicy Hożej, D-r Leonarda Dawida i Franciszka Wolfina, do przytułku S-go Józefa przy ulicy Solec p. p. Jana Kowalewskiego i Józefa Sobolewskiego, do przytułku dziewcząt bez opieki po za rogatkami Wolskimi księdza Władysława Siewierskiego, proboszcza miejscowej parafii i D-r Władysława Mleczko, do

przytułku S-go Antoniego przy ulicy Nowogrodzkiej p. Jana Kowalewskiego, do przytułku S-tej Rodziny dla sierot przy ul. Ordynackiej p. Jana Serkowskiego, do przytułku podupadłych obywateli przy ul. Słiskiej p. Ignacego Pstrokońskiego. Przyjętym został etat wydatków na utrzymanie zakładu sierot chłopców, obliczony na 3,817 rs. Starsze wychowanki zakładu sierot postanowiono wysyłać do zakładu hr. Cecylii Platerówny w Chiliczkach na naukę gospodarstwa domowego. Z zapisu prezesa Krzeczowskiego przyznano 75 r. Aleksandrze Arbaczewskiej, byłej wychowance zakładu sierot, pozostającej przez lat pięć w służbie jednej. Na dozorcę zakładu chłopców sierot zamianowano p. J. Rodkiewicza. Przy szpitaliku w Ciechocinku zbudowano dla słabych dzieci altanę z funduszu ofiarowanego przez p. J. Fuchsa. W przytułkach Towarzystwa mieści się 199 chłopców i 176 dziewcząt.

— Biuro informacyjne nędzy wyjątkowej otrzymało w ciągu września z ofiar dobrowolnych 1,599 rs., i wsparło 425 rodzin ubogich.

— Projekt urządzenia dioramy „Starej Warszawy“ na przyszłorocznej wystawie hygienicznej został już przez p. St. Jasińskiego zupełnie wykonany. Diorama mieścić się będzie w domu, odpowiadającym stylem swoim wystawie, a zbudowanym na sposób jaki bywa praktykowany na wystawach takich zagranicznych.

— Do rady opiekunczej War. instytutu muzycznego wniesiono projekt uczczenia pamięci założyciela tej instytucji i przez lat wiele jej kierownika, ś. p. Apolinara Kąteckiego. W sali konserwatorium ma być umieszczona tablica pamiątka, z napisem.

— W Salonie artystycznym na Nowym - Świecie otworzoną została wystawa konkursowa na najlepší malowaną głowę młodej kobiety. Wystawa liczy nadesłanych główek 30 olejnych, 5 pastelowych. Według warunków konkursu sędziami do dwóch nagród będą artyści, trzecią nagrodę wyznaczy publiczność przez głosowanie.

— Na rozpoczęcie nauczania rysunków w salach Muzeum rozpoczął uczęszczać 200 osób kobiet i mężczyzn, w liczbie tej 146 uczni przeważnie z pomiędzy młodzieży rzemieślniczej, pragnącej korzystać z wzorów i modeli tak wieczorami jak i w niedzielę. Kobiet jest 54, zajmujących się rysunkiem stosowanym do sztuki, w liczbie tej 20 oddaje się wyłącznie rysunkowi technicznemu. Zbiory muzeum będą wkrótce zubożone okazami sprowadzonymi z zagranicy.

— Biblioteka Warszawskiego uniwersytetu liczy według sprawozdania 211,292 dzieł, obejmujących 368,738 tomów, a to: wydawnictw peryodycznych 4,167, zawartych w 49,777 tomach, rękopismów 1,375, złożonych w 1,379 tomach, kart geograficznych i rysunków, portretów, 7,272 sztuk złożonych w 7,971 tomach. Razem jest 224,106 dzieł, zawartych w 427,869 tomach, oszacowanych na sumę 358,593 rs. Czytelnia studencka liczy 10,018 dzieł, tworzących 16,133 tomów, w wartości 20,837 rs. W roku sprawozdawczym korzystało z czytelni publicznej 2,254 osób. Gabinet numizmatyczny i starożytności, którym zawiaduje prof. Pawiński, posiadał w styczniu bieżącego roku 12,241 numizmatów, wartości 4,731 rs., przedmiotów różnych 1,950, wartości 2,809 rs.

— Dla emigrantów w Brazylii złożono w redakcji „Kurjera Warszawskiego“ kilka paczek książek nowych i używanych, oraz medalion gipsowy Matki Boskiej Częstochowskiej, redakcja Kurjera dodała do tego 50 egzemplarzy swego pisma. Wszystkie te dary będą spisane w dokładnym katalogu, który redakcja przygotowuje dla biblioteki brazylijskiej. Zbierze się około 1,000 egzemplarzy książek.

— Zgromadzenie członków „Lutni“ wybrało na prezesa swego księcia Mieczysława Woronieckiego, ponieważ dotychczasowy prezes, p. Święcicki, godności tej ponownie nie przyjął. Zarząd tworzą pp.: J. Kosiński, Dr Kacprowicz, Wład. Buchner, L. Chrzanowski, J. Maszyński. Komisję rewizyjną składają pp.: Szostakiewicz, Stołagiewicz i Warczyński. Dyrektorem jest p. Maszyński, vice-dyrektorem p. Rzepko. Pamięć zmarłego członka „Lutni“, Wł. Przybylskiego uczczono przez powstanie z miejsc a nadto na grobie jego postanowiono wzniesie pomnik „od kolegów.“

— Rok szkolny w krakowskiej szkole sztuk pięknych rozpoczyna się w d. 20 bieżącego miesiąca. Otwarcie roku szkolnego na uniwersytecie odbyło się w dniu 6-tym; odczyt inaguracyjny wygłosił D-r Stanisław Smolka, nowy rektor po usunięciu się D-r Browicza. W ubiegłym roku szkolnym uczęszczało w półroczu zimowym 1,304 słuchaczy, w półroczu letnim 1,230. Stopnie akademickie otrzymało w ciągu roku 138 słuchaczy, a to: z teologii 1, z filozofii 1, z medycyny 82, z prawa 49. Zapisy tegoroczne do gimnazyj galicyjskich wykazały liczbę uczniów, 13,695. więcej o 730 od roku ubiegłego. W skutek powiększenia się liczby uczniów potrzeba było utworzyć dziewięć równorzędnych oddziałów nowych i mianować 20 nauczycieli.

— Przez dwa dni odbywały się we Lwowie pod przewodnictwem posła Szczepańskiego obrady związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych; sprawozdanie wykazało przedewszystkiem pomyślny rozwój stowarzyszeń kredytowych. Liczą one 221,778 członków, których udziały wynoszą 6,861,000 złr. W roku ubiegłym własne kapitały stowarzyszonych przedstawiały 8,634,000 złr., kapitały obce 27,750,000 złr. Stan pożyczek wynosił z końcem ubiegłego roku 32,213,000 złr. Stowarzyszenia innych kategorii, należące do Związku liczyły 6,102 członków z udziałem w sumie 544,000 złr. Kredyty udzielone przez nie po koniec ubiegłego roku przedstawiały 561,000 złr.; zapas towarów, mieszających się w towarzystwach handlowych i wytworczych wykazywał wartość 519,000 złr. Uchwaloną została ustawa nowego Banku związkowego, który powstanie we Lwowie, z celem dostarczania stowarzyszeniom zarobkowym i gospodarczym, które są członkami Banku związkowego funduszów potrzebnych. Udział każdego ustanowiono co najmniej na 500 złr.; wszystkie udziały wynoszą przeszło 150,000 złr., przyrzeczony już obcy kapitał wkładowy przedstawia drugie tyle tej sumy.

Co mówią kwiaty

zebrała i ułożyła

Marya Piechocka.

Morwa.—Roztropność.—Mądrość.

Liście morwy późno się rozwijają i to zapewne dało powód do tak zaszczytnego znaczenia.

Naśladowmy roztropność morwy, pozwólmy dojrzeć planom zanim je w czyn wprowadzimy, a unikając ostateczności, umiemy w każdym postępku takt zachować.

La Fontaine powiedział: „nie za wiele“ jest punktem do którego wszyscy zmierzają, a nikt nie dochodzi.

Mało jest enót bez roztropności (Cicero).

Mądrość jest sztuką rozróżnienia dobrych i złych na dusze wpływów (Joubert).

Dziecię wyciska w ustach sok wiśni i pestkę rzuca; starzec podnosi ją, grzebie w oranej ziemi, malec śmieje się patrząc na to. Przechodząc jakiś czas potem, widzi że pestka stała się krzaczkiem. Tensam starzec, obecnie go szczepi, broni od szkodliwych wpływów. Na cóż tyle umęczenia mówi młode chłopię?

Ala stawszy się człowiekiem, na drodze uciążliwej pyłem i kurzem okrytej znajduje drzewo z mnóst-

wem soczystych owoców, orzeźwienie strudzonych i wędrowców.

Wtenczas dopiero zrozumiał naukę starca.

Któż z nas nie był tem dzieckiem, tym młodzieńcem, tym mężem? Ileż projektów rozpoczętych, niedokończonych, które roztropniejszy i wytrwalszy od nas do skutku doprowadzał! Większa część ludzi żyje na chybił, trafił, bez myśli, że każdy kielek, przechowany jest początkiem żniwa, a najmniejszy z postępów naszych jest w zarodku pestką wiśni (Bossuet).

Miodownik. — Żart — Szyderstwo.

Utrzymują że woda miodownika z góry Ikarmeli posiada własność nie tylko uspokajającą nerwy ale rozpraszającą smutek, niepokój i sprowadzającą wesołość.

Najniewinniejszy żart udać się może tylko z ludźmi rozsądnymi (la Bruyere).

Nie należy ani szydzić, ani szyderstw słuchać. Pod tym względem nigdy nie ma za wiele ostrożności i delikatności uczuć. W rzeczy samej równo obraża miłość bliźniego ten, który szyderstw słucha z przyjemnością, jak ten, który je dowcipnie powtarza (Fléchier).

Muchołówka. — Sidła.

Liście muchołówki kończą się dwoma zaokrąglonymi blaszkami, które łączy jedna żyłka w kształcie zawiaski. Sok pokrywający wierzch listków ściąga owady. Gdy mucha dotknie kosmatych i nadzwyczaj czułych blaszek, listki zbliżają się i gmatwają szybko, a mucha wzięta w sidła szamocze się czas jakiś w końcu ginie, uduszona... nierozważna.

Naparstnica. — Dygitalis — Praca.

W dzieciennych zabawach często zapewne zdarzyło się wam zerwać kwiat naparstnicy i ubrać weń lilipuci palec; czyż nie łatwo zrobić porównanie tego wdzięcznego kwiatka z naparstką, głównym przyrzędem robót kobiecych.

Praca w sobie samej nosi zapłatę, odosabnia nas od świata i nas samych. Gdybyśmy zaledwie jej byli winni tę pogodę umysłu, która niezawodnie wieńczy każdy dzień dobrze spędzony, jużby ją kochać i błogosławić należało (J. Sandeau).

Nieszczęsny kto nie zna wdzięku pracy, jakżeż wcześniej pozna przesyt zabaw i przyjemności (de Lévis).

Zrozumieć już w młodości wielkie prawo użytecznej pracy i umieć się doń zastosować, jestto wyrok na przyszłość wydany i przeznaczenie ustalone. Pracować jestto zapewnić sobie zawczasu urodzajność długich lat, jestto otworzyć w poczynającym się życiu źródło, z którego wypływają rzeczy wielkie i rozświetlające całe istnienie. Lenistwo przeciwnie, zlewa na całość ludzkość nieobliczone kłeski, rani dziecięstwo, podcina młodość, łamie wiek dojrzały i do wszystkich władz duszy wiąże hańbę bezużytecznej i pasożytnej wegetacji. O, bo praca na ziemi, jest szczytem usiłowań człowieka; wszystko w życiu zależy od sposobu w jakim ją wykonać potrafi (O. Feliks).

Narcyz. — Samolubstwo.

Piękny Narcyz wracając z polowania, znużony upałem i pragnieniem, śpieszy do źródła, aby się pokrzepić. Nad wodą pochylony spostrzega twarz swoją odbitą w czystej fali, a tak się rozmiłował w swej piękności, że stanął jak wryty. Bogowie przez litość, zmienili go w narcyza.

Występki tworzą łańcuch, którego pierwszym ogniwem jest samolubstwo.

Samolub jest biednym zbłąkanym szaleńcem, odosabnia się, pozbawia pomocy innych, błądzi bez towarzysza, bez przewodnika w labiryncie życia (de Segur).

Samolub nigdy wdzięcznym być nie umie, ryje na marmurze złe, które mu uczyniono, a na piasku otrzymane dobrodziejstwa.

Niezapominajka. — Pamiętaj o mnie.

Dwoje narzeczonych przechadzało się w wilię ślubu nad brzegiem Dunaju. Nagle dziewczę spostrzega wśród roślin zdobiących brzegi mały błękitny kwiatusek. Gdyby to można bliżej przypatrzeć się modrym gwiazdkom! Młodzieniec bieży uczynić zadość wyrażonej prośbie; zstępuje nagle po wilgotnej ziemi, noga jego poślizguje, się a on wpada w rzekę. Powiadają że ostatnim wysiłkiem, zdołał rzucić kwiatek do stóp narzeczonej zanim zginął w falach zdradliwych z rozpaczliwą prośbą na ustach.

„Pamiętaj o mnie.“

O zapomnienie tak łatwo w ludzkiej rodzinie. Wnuki zaledwie dziadów swych mogą rozpoznać; pokolenia całe przechodzą, tłoczą się, sobą tylko zajęte, obce, obojętne dla tych, co giną w mglistej przeszłości. Wprawdzie wypływa kilka wielkich postaci; sława uprzytomnia je w każdej epoce, ale tłum zmierza do nicości. Kilka portretów jeszcze zostało; szczęściem, że przezornie opatrzone je nadpisem, inaczej wkrótce stałyby się nieczytelnymi hieroglifami dla wieków późniejszych (Cousin).

Gdybyśmy przywołali do życia jedną z dusz, które nas przed kilku laty opuściły, unosząc jako największą pociechę przysięgi naszej wiecznej pamięci, albo raczej gdyby Bóg dał im posłuchać ciszy jaką zaległa nad ich imieniem w miejscach, gdzie byli szczęśliwi na ziemi! Gdyby jako niewidoczni świadkowie przyszli posłuchać rozmów naszych w czasie zimowych wieczorów, ileż razy ukochane niegdyś imię znalazłoby się w ustach waszych?

A jednak nie brak rozmaitości w poufnych gawędkach. Najczęściej podsłuchawszy rozmów tak różnych treści od tego, co dawniej bywało napowrót te drogie dusze wstąpiłyby w przepaść, tylko że z jedną boleścią więcej i z krzykiem niepocieszonego smutku. „A więc już koniec, koniec na zawsze, wszyscy o mnie zapomnieli, i oto nawet najłżejsze wspomnienie z ziemią nas nie łączy.“

Wszędzie pył zapomnienia: zapomnienie nazwiska, którego nikt nie wymawia, zapomnienie grobu, którego nikt nie odwiedza, zapomnienie śmierci, której nikt nie płacze, zapomnienie ogniska, którego nikt nie podsyca: zapomnienie w sercu przyjaciół, z których żaden ani ży nie poświęci; zapomnienie na wschodzie na zachodzie, zapomnienie powszechne, nieubłagane, ustawiczne. Pomimo czułych zapewnień, żałosnych pożegnań i wiecznych przysięg, oto do czego wszystko na świecie żyjących prowadzi (O. Feliks).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za późno**, przez autorkę powieści „Silny duch.“ Przekład z niemieckiego, ark. 6.

TREŚĆ: Z Maeterlincka, przez Selima.—Co życie dać może. V. Szczęście, przez M. I. — Kazimierz Gliński. Kłeska Powieść (dalszy ciąg). — List z Anglii, przez Henryka.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.—Co mówią kwiaty, zebrała i ułożyła Marya Piechocka.

Dodatek obejmuje: Za późno, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“ przekład z niemieckiego ark. 6-ty. — Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 4 Октября 1895 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.